

ANEKS

Klin

Krzysztof Wyszkowski był w drugiej połowie lat siedemdziesiątych działaczem Wolnych Związków Zawodowych na Wybrzeżu (razem z Wałęsą, Walentynowicz, Borusewiczem), współpracownikiem KOR, „Robotnika”. Środowiska bardzo jeszcze wtedy wyizolowanego, zamkniętego. Brakowało mu kontaktów szerszych i nie tylko sensu stricto politycznych.

Drukował już trochę dla NOW-iej, wydawała jednak głównie literaturę – wiersze Miłosa, powieści Konwickiego. A większość pozostałych wydawnictw – bibułę: broszury antyradzieckie, ulotki. Postanowił więc – jako było nie było działacz WZZ-ów – „usamorządnąć się i usamodzielnąć”, założyć własne wydawnictwo. Wydać całego Gombrowicza, to znaczy wszystko, czego nie było dotychczas w kraju, przede wszystkim oczywiście legendarny „Dziennik”.

Postać Gombrowicza oraz twórczość od dawna go fascynowała – chciał nawet do niego napisać, ale nie śmiał, a potem dowiedział się, że za późno, bo zmarł. Z tym że wydawał go głównie ze względów politycznych – uważał za naszego najwybitniejszego pisarza politycznego. Symbol niezależności, wolności i godności, niezgody na totalitaryzm. Jego sądy o Polakach, polskich sprawach – nowe, świeże, radykalne, niezbędne dla zmian w naszej mentalności, bez których nie będzie nigdy wolnej Polski. Jego książki, zwłaszcza „Dziennik” – o wiele bardziej „rewolucyjne”, pobudzające do myślenia niż wszystkie razem wzięte antyradzieckie broszury.

Oczywiście, nie pracował sam, była grupa stałych, najbliższych współpracowników. Przede wszystkim Anna Młynik, która składała, kolportowała, miała w warszawskim mieszkaniu magazyn książek. Ryszard Kułakowski – najczęściej chyba pożyczal „na robotę” swoje wynajmowane pokoje, tak że sypiał nawet po znajomych, nie było bowiem dla niego miejsca: wszędzie pełno paczek, papieru. Piotr Kapczyński założył później własne wydawnictwo „Litery”. Tadeusz Kadenacy – stan wojenny zastał go w Londynie, skąd redagował paryskiego „Libertasa”.

I wielu innych, pożyczających mieszkania, podrzucających swoimi fiacikami, przywożących z zagranicy zszywacze, pomagających przy składaniu, choć często tylko jeden dzień, drugiego już się nie pojawiali; mieli dość. W pewnym

sensie pomagali też właściciele wynajmowanych przez nich mieszkań czy pokoi, którzy przymykali oczy, udawali, że nie widzą papieru, waliz z książkami.

Prawa autorskie Gombrowicza miała „Kultura” paryska, Jerzy Giedroyc. Od niego więc dostali – przez kurierów – zgodę na wydanie w kraju „Dziennika” i pozostałych pozycji. Przez nich też przesyłali mu wydane przez siebie „Gombrowicze”.

Na przełomie 1978 i 1979 roku rozpoczęli od „Rozmów z Gombrowiczem” Dominique de Roux; zupełnie dotychczas nieznanych, a tam właśnie Mistrz dokonał autoprezentacji, wyłożył swoje credo. Potem oczywiście „Dziennik”, podzielony na siedem zeszytów, żeby łatwiej składać. Później – „Kosmos”, „Pornografię”, oddzielnie „Przeciw poetom” i „Sienkiewicza”. Utwory wcześniejsze – „Ferdydurke”, dramaty, wydano w kraju po roku 1956, nie chcieli więc ich powtarzać.

Wydawali w sporych – jak na tamte czasy – kilkutyśnięcznych nakładach. „Dziennik” na przykład w dwóch, „Kosmos” w trzech, „Rozmowy z Gombrowiczem” Dominique de Roux – trzech i pół, „Pornografię” w pięciu, a „Przeciw poetom” – aż w dwunastu!

Ryszard Kułakowski nazwał ich wydawnictwo „Klinem”, że Gombrowiczem właśnie, niby klinem, podważało naszą zsovietyzowaną świadomość. Trochę może zbyt „serioźnie”, wtedy jednak zupełnie tego nie czuli – były inne czasy. I jako „Klin” podpisywali wszystkie tomy „Dziennika”, ale inne pozycje zwykle inaczej. „Pornografię” na przykład jako „Oficyna Narodowa”, „Rozmowy z Gombrowiczem” – „Europa”. Naturalnie dla zmylenia śladów, za to przecież siedziało się wtedy w więzieniu. Tym bardziej że wszyscy związani byli wcześniej z opozycją, notowani, zatrzymywani. Na czele z Krzysztofem Wyszkowskim, który jako działacz WZZ-ów był dobrze ubecji znany. Rzeczywiście dało to rezultaty – nikt z nich za Gombrowicza „nie usiadł”, zatrzymywano ich najwyżej na 48 godzin, mieli czasem rewizję, ale to „normalka”.

Często oczywiście swojej ostrożności żalowali – bo jednak mniej sławy, dysydenckiego szpanu, większa anonimowość, NOW-a na przykład sygnowała zawsze swoje książki, miała za to sporo wpadek, wyroków, zniszczonych nakładów. Oni natomiast tego uniknęli. I w końcu liczyła się przede wszystkim książka, poczucie, że robią coś sensownego. Szkoda czasu i nerwów na szarpanie się z milicją. Szkoda – w razie ewentualnej wpadki – ciężko zdobytego sprzętu, wydrukowanych książek; pracowali również trochę dla „Republiki” i „Głosu”.

A uznanie i tak jednak mieli. W 1981 roku Krzysztof Wyszkowski otrzymał nagrodę „Polculu”, za działalność wydawniczą. Jesienią 1981 przyjął go bardzo serdecznie w Maisons-Laffitte Jerzy Giedroyc – chciał poznać pierwszego krajowego wydawcę „Dziennika”. A w ich środowisku i tak wszyscy wiedzieli, że to właśnie oni „tłuką Gombrowicza”.

Cieszyła też bardzo sprzedaż wszystkich nakładów, zamówienie na „więcej”. Pochwały tych, którzy – często po raz pierwszy – Gombrowicza przeczytali i nie kryli zachwytu, uwielbienia, „porażenia”.

Trzydzieści tysięcy pożyczki na rozpoczęcie działalności – sporą wówczas sumę – pożyczyli od Jana Józefa Lipskiego, skarbnika KOR-u, dysponującego tzw. funduszem rozwojowym. Dość szybko ją zresztą spłacili – mniej więcej po roku finansowali się sami. Mieli zyski, choć sprzedawali stosunkowo tanio – były inne czasy, niezależni wydawcy nie myśleli jeszcze wyłącznie o profitach. Stać więc ich było na swego rodzaju szaleństwo – dwanaście tysięcy wydane go osobno „Przeciw poetom” rozdawali gratis w szkołach średnich.

Dziś, oczywiście, ich książki wydają się szare i zgrzebne; typowa ówczesna bibuła. Może z wyjątkiem „Pornografii” z bardziej atrakcyjną okładką – powielonym zdjęciem Gombrowicza, wykadrowanym z książki Tadeusza Kępińskiego. Ale tak się wtedy drukowało. Najważniejsze, że czysto, czytelnie. A przede wszystkim – jako pierwsi krajowi wydawcy „Dziennika” oraz reszty nieznanych dotychczas utworów Gombrowicza. Znacznie później, już w stanie wojennym, wydał go również „Kraś”.

Najbardziej cieszył widok gotowych, popakowanych do kolportażu „Gombrowiczów”. Poprzedzała to jednak szara, monotonna, chałupnicza robota. Żmudne i powolne „organizowanie” kolejnych etapów.

Papier oraz karton na okładki kupowali na lewo; na czarnym rynku. Drukowali w państwowych lub spółdzielczych drukarniach, na tzw. dojsciach – u drukarzy znanych i zaufanych, poleconych przez kogoś, którzy pracowali dla nich po godzinach za niewielkie pieniądze, i to nie zawsze – ludzie chcieli wtedy pomagać opozycji. Zdarzali się oczywiście i złodzieje; brali zaliczki i wykręcali się – twierdzili, że wpadła milicja, zabrała papier, maszynopisy, a pieniądze dawno wydali, nie mają z czego oddać.

Nie korzystali nigdy z usług osób pracujących – szybko i sprawnie, wyłącznie jednak za pieniądze. Mogły one przecież, za sumy jeszcze większe, wydać, wyspać, a może nawet pójść z ubecją na współpracę.

Najprościej naturalnie było zamówić wszystko u drukarzy, odebrać gotową książkę, ale to kosztowało. Zlecali więc zwykle tylko druk, sami natomiast kończyli: cięli arkusze, składali i zszywali.

Potrzebowali do tego lokalu – sprawy najtrudniejszej. Pomagano bowiem w najróżniejszy sposób, mało kto decydował się jednak na pożyczenie swego mieszkania. Nie mieli, niestety, pieniędzy na wynajęcie willi, gdzie mogliby stukać do rana, nie bać się sąsiadów, dozorczy. Pracowali więc, gdzie się dało: w wynajętych, pożyczonych tylko mieszkaniach, piwnicach, gdzie – mimo zimna i kotów – często nocowali. Chcieli jak najszybciej skończyć, nie kręcić się w tę i z powrotem.

Sami też kolportowali, wozili do dużych miast: Krakowa, Wrocławia, Lublina, Warszawy. Do SKS-ów, które dalej to rozprowadzały. Żeby zmniejszyć koszty, podróżowali zawsze drugą klasą, osobowym i nocnym – mniej ludzi, milicji. Tak że, prawdę mówiąc, Gombrowicz kojarzy im się głównie z kilkudniowym, monotonnym składaniem. Ciężkimi walizami. A nade wszystko z kiwaniem się w pociągach, ludźmi leżącymi pokotem na korytarzach, tlokiem, smrodem, brudem.

A także, trudno ukryć, ze strachem. Ciągłą troską o to, żeby nie wpaść, nie stracić gotowych już książek.

Czytelniku !

Domagaj się wydania **DZIEŁ ZEBRANYCH** Witolda Gombrowicza i Czesława Miłosza !

Ostrożność obowiązywała więc na każdym kroku.

Starali się, aby podrzucali ich swoimi wozami wyłącznie znajomi. Nie korzystali z usług taksówkarzy; wieźli kiedyś „taryfą” paczki z drukarni i kierowca – ostro, agresywnie – wypytywał, co jest w środku? Tłumaczyli, że przenoszą domową bibliotekę, dziwił się jednak, dlaczego wszystko w jednym formacie. Na szczęście nie „zakablował”, mieli jednak nauczkę.

Podczas pracy przy składaniu zachowywali się możliwie najciszej. Ale czasami – jak na złość – zszywacz stukał za głośno, ktoś dzwonił do drzwi, a stróż wyglądał podejrzanie. Nigdy też nie trzymali w swoich własnych mieszkaniach, gdzie byli zameldowani, niezależnych wydawnictw, wydawanych przez siebie książek. Przechowywali u znajomych, rodziny, sporo więc poginęło. I dziś nie mają czasem nawet kompletu swoich „Gombrowiczów”.

Mimo to nie obeszło się bez wpadki. Na wiosnę 1980 wpadła część gotowego już, spakowanego do kolportażu drugiego wydania „Rozmów z Gombrowiczem” Dominique de Roux. Wpadła u Maćka Kapczyńskiego, którego aresztowano, ale zwolniono jednak po 48 godzinach. „Zakablowała” najprawdopodobniej gospodyni, u której wynajmował pokój.

Co ciekawe, nie zabrali całego nakładu, część książek zostawili – najprawdopodobniej „na przynętę”. Żeby obserwować, gdzie i do kogo wywiozą. Wynosili więc bardzo ostrożnie – po jednej czy dwie wyłącznie w kieszeniach, i trochę jeszcze uratowali.

Co więcej, w 1982 roku ktoś z podziemia zaproponował im kupno... tej właśnie książki. SB-cy nie zniszczyli zarekwirowanego wtedy nakładu, zachowali, i teraz chcieli zarobić. Albo też jedna ekipa zabrała, druga ukradła. Odmówili oczywiście, bojąc się prowokacji.

W roku 1980, gdy wydali wszystko, co planowali, zamknęli wydawnictwo. Tym bardziej że zmieniła się radykalnie sytuacja – wybuchła „Solidarność”, która pochłonięła ich do reszty. W sierpniu 1980 Krzysztof Wyszkowski zabrał na strajk w Stoczni Gdańskiej cały sprzęt „gombrowiczowski” – wałki, białka, urządzenia do cięcia. Drukował nimi strajkowe ulotki. W pewnym sensie więc i Gombrowicz miał w „Solidarności” swój udział...

Na okładce ostatniego tomu „Dziennika” napisali:

Kończąc niniejszym zeszytem całość krajowego wydania „Dziennika”, kończąc również działalność wydawniczą, pragniemy zadedykować swą pracę Jerzemu Giedroycowi – człowiekowi, którego zasługi dla kultury polskiej można mierzyć tylko wielkością jej samej.

Klin – Polska – grudzień 1980.